

Nadciągający smutek

Clive Barker



calibre 0.9.27

Clive Barker

NADCIĄGAJĄCY SMUTEK

Miriam nie używała skrótów na obrzeżu

kamieniołomu przez ponad osiemnaście lat. Osiemnaście

lat innego życia, całkiem różnego od tego, które wiodła w tym niemal zapomnianym mieście. Opuściła Liverpool,

aby zasmakować świata; aby wzrosnąć; prosperować;

nauczyć się żyć; i, na Boga, czyż tego właśnie nie

uczyniła? Z naiwnej i przerażonej dziewiętnastolatki,

jaką była, gdy po raz ostatni postawiła stopę na ścieżce do kamieniołomu, rozkwitła jako światowa kobieta. Jej

mąż ubóstwiał ją; jej córka upodabniała się do niej z

każdym rokiem; była powszechnie adorowana.

Jednak teraz, gdy stanęła na źle wytyczonej żwirowej

ścieżce przebiegającej obok rozpadliny kamieniołomu,

czuła jakby w jej biodrze otwierała się rana, i z trudem zdobyta poza i zaufanie dla samej siebie spływały z niej i uciekały w mrok; jakby nigdy nie opuściła swego

rodzimego miasta, nigdy nie zyskała mądrości z

doświadczenia. Nie czuła się bardziej przygotowana do

sprostania temu rozciągającemu się na sto jardów otoczonemu murem przejścia, niż gdy miała 19 lat. Te same wątpliwości, te same koszmary wyobraźni, jakie zawsze dręczyły ją w tym miejscu, przylegały teraz do wnętrza jej umysłu i szeptały o oczywistościach tajemnic.

Wciąż leżały i czekały tutaj, idiotyczne lęki wymyślone na bazie plotek na rogu ulicy i dziecinnych zabobonów.

Nawet teraz stare mity powracały, aby ją objąć.

Opowieści o mężczyźnie z hakiem zamiast ręki i tajemnych kochankach, zmasakrowanych w akcie

miłości; tuzin pełnych okrucieństwa plotek które, w jej wybujałej wyobraźni, miały zawsze swe źródło, swe

epicentrum, tu: na Ścieżce Strachu.

Tak ją nazywali i taką na zawsze dla niej pozostanie:

Ścieżką Strachu. Zamiast stracić swój potencjał na

przestrzeni lat, rozrosła się. Prosperowała jak i ona, również odnajdując swe powołanie. Oczywiście,

dojrzewała w zadowoleniu, i może to właśnie ją osłabiło.

Lecz to, och, *to* jedynie nakarmiło się swoją własną frustracją i stało się rozdrażnione, z pożądania zawładnięcia nią tylko dla siebie. Może, z biegiem czasu, zaspokoilo się nieco dla utrzymania swej siły: lecz w

swym niezmiennym sercu, chciało jedynie pewności

ostatecznego zwycięstwa by przeżyć. Jednego nagle i bez namysłu była pewna: bitwy, jakie toczyła ze swoją

słabością nie skończyły się. Dopiero się rozpoczęły.

Zacząła poruszać się naprzód kilka jardów wzdłuż

ścieżki, ale potknęła się i zatrzymała, a jakże znajoma panika zmieniła jej stopy w potężne ciężary. Nie była to noc pozbawiona dźwięków. Ponad nią pobrzękiwał

odrzutowiec, jako wydłużony ryk w ciemności; matka

wzywająca swe dziecko z ulicy. Lecz tutaj, bezpośrednio na Ścieżce, oznaki życia były bardzo odległe i nie mogły jej pocieszyć. Przeklinając swą wrażliwość, odwróciła się w stronę drogi, którą przyszła i powróciła do domu,

poprzez ciepłą mżawkę, bardziej okrężną trasą.

Smutek, jak próbowała to sobie wytłumaczyć,

złaltretował ją i wyczerpał wolę do walki. Być może za dwa dni, gdy skończy się pogrzeb jej matki i nagle strata stanie się bardziej znośną, wtedy zobaczy przyszłość

przejrzyscie i ta ścieżka przybierze właściwą

perspektywę. Dostrzeże Ścieżkę Strachu jako pełną

rozjechanych ekskrementów, obrośniętą chwastami

żwirową dróżkę, jaką była. W międzyczasie zmoczy się

bardziej niż tego potrzebowała, bezpiecznie wracając do domu.

Kamieniołom nie był sam w sobie tak przerażającym

miejscem; również, dla nikogo poza nią, nie była ścieżka wzdłuż jego krawędzi. Nie popełniono tam morderstw, o

których by wiedziała, na tej obskurnej małej ścieżce nie zdarzyły się też gwałty ani rabunki. Była to publiczna droga, ni mniej ni więcej: kiepsko utrzymana, marnie

oświetlona ścieżka wokół krawędzi czegoś, co kiedyś było produktywnym kamieniołomem, a teraz stało się

miejskim wysypiskiem śmieci. Ściana, która

powstrzymywała pieszych przed stumetrowym

śmiertelnym upadkiem w dół, była zbudowana z prostej

czerwonej cegły. Miała osiem stóp wysokości, zatem nikt nie mógł dostrzec przepaści z tej strony, wzdłuż niej zaś znajdowały się kawałki potłuczonych butelek po mleku

wmurowanych w beton, aby odstraszyć wszystkich przed

wdrapywaniem się na nią. Ścieżka sama w sobie była

niegdyś asfaltową, ale zapadanie się otworzyło w niej

szczeliny i burmistrz, zamiast ponownego pokrywania,

uznał za konieczne jedynie wysypanie jej luźnym

żwirkiem. Była rzadko, jeśli gdziekolwiek,

zachwaszczona. Szczypiące pokrzywy urosły na wysokość

dziecka, w małym brudzie u podnóża ściany, podobnie

jak i dziwnie pachnący kwiat, którego nazwy nie знаła, lecz który, w środku lata, był Mekką dla os. I to – ściana, żwir i chwasty – było podsumowaniem tego miejsca.

W snach jednakże, wdrapywała się na ścianę – a jej dłonie w magiczny sposób były odporne na raniące szkło – i w tych przyprawiających o zawrót głowy przygodach wpatrywała się w dół czarnego, czystego klifu kamieniołomu, prosto w jego ciemne serce. Półmrok na dnie był niespenetrowanym, ale wiedziała, że gdzieś poniżej było jezioro wypełnione zieloną i słonawą wodą.

Można było je ujrzeć, ten duszny basen brudu, z drugiej strony kamieniołomu; z bezpiecznej strony. Stąd właśnie wiedziała, że tam był, w jej snach. I wiedziała również, chodząc po nieraniącym szkłe, kuszając w równym stopniu

równowagę i przyciąganie ziemskie, że utalentowane zło, które żyło na górze klifu, zobaczy ją i będzie się wspinać, nawet teraz, ręka za szponiastą ręką, w górę stromej

strony w jej kierunku. Ale w snach zawsze się budziła, zanim bezimienna bestia złapała jej tańczące stopy, i

rozradowanie jej ucieczki uleczy strach; przynajmniej do następnego razu, gdy będzie śnić.

Przeciwny koniec kamieniołomu, daleko od gładkiej

ściany i basenu, zawsze był bezpieczny. Porzucone

rozkopy i eksplozje pozostawiły śmietnik z głazów

piranezyjskiej wielkości, w rozpadlinach, których często bawiła się jako dziecko. Nie było tu niebezpieczeństwa: jedynie plac zabaw z tuneli. Zdawało się być bardzo

daleko (przynajmniej z dziecięcej perspektywy) przez

gruzowisko do jeziora wody deszczowej i cienkiej linii ściany z czerwonej cegły, która przebiegała wzdłuż góry klifu. Chociaż, jak pamiętała, były pewne dni, nawet w bezpieczeństwie światła słonecznego, gdy dostrzegała coś o kolorze skały przeciągające się na przedzie

kamieniołomu, wspinające na klif w niestrudzonej i

drapieżnej pozie mniej niż dwanaście jardów poniżej

ściany. Wtedy, gdy jej dziecięce oczy zwięzały się w próbie wyczucia jego anatomii, wyczuwało jej spojrzenie i

zamierało w pozie idealnej kopii skały.

Skała. Zimna skała. Myśląc o nieobecności,

zamaskowaniu rzeczy, która nie chciała być widziana,

skręcała na drogę jej matki. Gdy wyjmowała klucz do

domu, pomyślała absurdalnie, że być może Veronica nie

była martwa: po prostu jedynie idealnie zamaskowana

gdzieś w domu, przyciśnięta do ściany albo niczym na

wieszaku; niewidoczna, lecz widząca. Być może wtedy

widoczne duchy były po prostu marnymi kameleonami: 6

reszta posiadała sztuczkę ukrycia się na poczekaniu. To był głupi, bezwocny tor myślowy, i zbeształa samą siebie za zabawianie się nim. Jutro, albo pojutrze, takie myśli ponownie zdawać się jej będą tak obce jak zaginiony

świat, w którym obecnie osiadła. Tak sądząc,

przekroczyła próg.

Dom jej nie zmartwił; po prostu obudził zmysł

znużenia, jaki jej gorączkowe, przebiegłe życie zepchnęło na bok. Zadanie segregacji, wyrzucania i pakowania

pozostałości po życiu jej matki było powolne i

naznaczone rutyną. Cała reszta – strata, wyrzuty

sumienia, gorycz – były już myślami na kolejny dzień. I bez żałoby było wystarczająco dużo do zrobienia. Pusty pokój z pewnością krył wspomnienia; wszystkie były

wystarczająco przyjemnymi by je radośnie przywołać,

jednak nie na tyle znakomitymi, by przeżyć je powtórnie.

Jej uczucia, krążące po wnętrzu tego domu, mogły być

zdefiniowane przez to, czego już dłużej nie widziała ani nie czuła: *nie* przez twarz jej matki, *nie* besztający głos, zapobiegająca ręka; tylko nieznana nicość, która

wypełniła przestrzeń wcześniej zajmowaną przez życie.

Pomyślała, że w Hongkongu Boyd będzie na służbie,

a słońce płonie gorącem, ulice zaś zapełnione są ludźmi.

Chociaż nienawidziła wychodzenia w południe, gdy

miasto było tak zatłoczone, dziś z radością powitałaby ten dyskomfort. Siedzenie w zakurzonej sypialni było

nużącym zajęciem, gdy ostrożnie sortowała i składała

zatechłe wyściółki szuflad komód. Chciała życia, nawet jeśli było uporczywe i wymagające. Tęskniła za zapachem ulic kołującym w jej nozdrzach i upałem uderzającym na jej głowę. Tak czy owak, pomyślała, niebawem się to

skończy.

Niebawem się skończy. Ach, było tutaj poczucie winy: odfajkowywanie dni pozostałych do pogrzebu,

niemożność doczekania się rytuału usunięcia jej matki ze świata. Kolejne 72 godziny i cała sprawa zostanie

zakończona, a ona odleci z powrotem do życia.

Gdy powróciła do swych obowiązków córki,

zostawiła zapalonym każde światło w domu. Było to

bardziej wygodne, przekonywała samą siebie, z całym

tym przebieraniem i przekładaniem, jakie wymagała ta

praca. Poza tym, dni pod koniec listopada były

wystarczająco krótkie i posępne, a praca dostatecznie

zniechęcająca bez konieczności działania przy

nieustannym zmierzchu.

Organizacja usuwania przedmiotów osobistych

zajmowała najwięcej czasu. Jej matka posiadała sporą

garderobę, która w całości musiała zostać

posegregowana: kieszenie opróżnione, biżuteria usunięta z kołnierzyków. Zapakowała duże ilości ubrań w czarne

plastikowe torby, mające zostać zabranymi przez lokalne sklepy dobroczynne następnego dnia, zostawiając dla

siebie tylko futrzany szal i suknię wieczorową. Potem

wyselekcjonowała kilka z ulubionych rzeczy osobistych

dla kilku bliskich przyjaciół do wręczenia po pogrzebie: skórzaną torebkę; kilka chińskich filiżanek i spodków, figurkę pasterza z kości słoniowej, która należała do...

Zapomniała, do kogo należały. Kogoś z rodziny, od

dawna nieżyjącego.

Gdy tylko poradziła sobie z ubraniami i

drobiazgami, przeniosła swoją uwagę na pocztę,

zbierając zaległe rachunki na jednej kupce a osobistą

korespondencję, zarówno dawną jak i bieżącą, na

drugiej. Czytała uważnie każdy list, nieważne jak stary czy trudny w odbiorze. Większość wrzuciła do małego

ognia, jaki rozpałała pod rusztem w salonie. Wkrótce stał

się on jaskinią papierowych skrzydeł nietoperzy;

czarnych i żylastych od spalonych słów. Tylko raz

znaleziony list wycisnął z niej łzy: notka, napisana

delikatną ręką jej ojca, która rozbudziła cierpienie żalu za stracone lata antagonizmu pomiędzy nimi. Znajdowały

się tam również fotografie; w większości równie

zamarznięte jak Alaska: suche, bezowocne terytorium.

Jednakże niektóre, wylapujące chwile prawdy pomiędzy

pozami, zdawały się być świeżymi niczym wczorajsze, i

łoskot głosów wylewał się z tych dawnych obrazów:

- *Poczekaj! Jeszcze nie teraz! Nie jestem gotowa!*

- *Tatus! Gdzie jest tatus? Musimy mieć tatusia na tym zdjęciu!*

- *On mnie gilgocze!*

Z tych zdjęć rozbrzmiewał śmiech; ich poprawiona

radość parodiowała prawdę o pogorszeniu i

unicestwieniu, których dowód był tolerowany przez ten

pusty dom.

- *Czekaj!*

- *Jeszcze nie!*

- *Tato!*

Z trudem mogła spojrzeć na niektóre z nich. Spaliła w

pierwszej kolejności te najbardziej bolesne.

- *Poczekaj!* krzyknął ktoś. Prawdopodobnie ona sama, dziecko w ramionach przeszłości. *Poczekaj!*

Lecz zdjęcia skwierczały w sercu ognia, potem brązowiały i ciemniały z niebieskim płomieniem, i chwila –

- *Czekaj!*

- chwila odeszła drogą wszystkich chwil, które otaczały momenty uchwycone przez kamerę, odchodzące na

zawsze jak ojcowie i matki, i, po jakimś czasie, także i córki.

Położyła się do łóżka o 3:15 w nocy, przygnieciona

ciężarem zadań, jakie sama sobie wyznaczyła tego dnia.

Matka oklaskiwałaby zapewne jej wydajność. Jakże

ironicznym było to, że Miriam, córka, która nigdy nie

spełniała wymogów stawianych wobec córki, która

zawsze pragnęła świata zamiast pozostać w domu, była

teraz bardziej skrupulatna niż jakikolwiek rodzic mógłby oczekiwać. Oto ona, wymiatająca do czysta całą historię; składająca pozostałości życia do ognia, szorując dom

bardziej dokładnie niż kiedykolwiek jej matka.

Nieco po 3:30, obmyśliwszy plan następnego dnia,

opróżniła ostatnie pół szklanki whisky, którą sączyła

przez cały wieczór i, niemal natychmiast, zapadła w sen.

O niczym nie śniła. Jej umysł był czysty. Tak czysty, jak czysta jest ciemność, jak czystą jest pustka; nawet twarz 11

Boyda lub jego ciało (często śniła o jego klatce

piersiowej, o doskonałym wzorze włosów na jego

brzuchu) nie wpełzły do jej głowy, aby zanieczyścić

bezpostaciowe błogosławieństwo.

Gdy się obudziła padał deszcz.

Jej pierwszą myślą było: *gdzie jestem?*

Drugą: *Czy pogrzeb jest dziś, czy jutro?*

Trzecia: *Za dwa dni będę znów z Boydem. Słońce będzie świecić. Zapomnę o tym wszystkim.*

Jednakże dziś, czekała ją jeszcze mniej zachęcająca praca. Pogrzeb miał odbyć się jutro, czyli w środę.

Dzisiejsze zadania były zwyczajnymi: sprawdzenie ustaleń kremacji z Beckettem i Dawesem, napisanie podziękowań za wiele listów z kondolencjami, jakie otrzymała, tuzin innych mniejszych spraw. Po południu

odwiedzi panią Furness, przyjaciółkę jej matki, obecnie zbyt osłabioną artretyzmem by przybyć na pogrzeb.

Podaruje starszej pani tę skórzaną torebkę, jako

pamiątkę. Wieczorem czeka ją znów to samo smutne

przebieranie pozostałości po matce i organizowanie ich dalszego przeznaczenia. Było tak wiele do podarowania –

potrzebującym lub chciwym – zależnie od tego, którzy

pytali pierwsi. Nie dbała o to, kto bierze te rzeczy, tak długo, jak zadanie to miało szybko dobiec kresu.

W połowie poranka, rozległ się dźwięk telefonu. Był

to pierwszy hałas, jaki usłyszała w domu od momentu

przebudzenia, którego nie wydała ona sama, i

przestraszył ją. Podniosła słuchawkę i usłyszała ciepłe słowo w uchu: jej imię.

„- Miriam?”

„Tak. Kto mówi?”

„Och kochana, brzmisz jakbyś była zupełnie

wypompowana. Tu Judy, słońce, Judy Cusack!”

„Judy?”

Samo imię wywołało uśmiech na jej twarzy.

„Nie pamiętasz?”

„Oczywiście, że pamiętam. Jakże miło słyszeć twój głos.”

„Nie dzwoniłam wcześniej. Sądziłam, że będziesz miała

wiele do zrobienia. Współczuję Ci, kochanie, z powodu

matki. To musiał być szok. Mój ojciec zmarł w zeszłym

roku. Naprawdę mnie to dobiło.”

Miriam jak przez mgłę przypominała sobie ojca Judy,

szczupłego, eleganckiego mężczyznę, który rzadko się

uśmiechał i niewiele mówił.

„Był bardzo chory. To było prawdziwe błogosławieństwo, serio. Boże, nie sądziłam, że kiedyś usłyszę siebie

mówiącą to. Zabawne, prawda?”

Głos Judy niemal się nie zmienił, wręcz kipiał

przyjemnością jak zwykle; ciało, które Judy widziała w swym umyśle, wciąż było zaokrąglone, z trwającym

młodzieńczym tłuszczkiem. Osiemnaście lat temu były

najlepszymi przyjaciółkami, bratnimi duszami; i przez

chwilę, gdy wymieniały uprzejmości pełnymi werwy

głosami, zdawało się, jakby czas między tą a ich ostatnią rozmową skurczył się do kilku godzin.

„Tak dobrze słyszeć twój głos”, powtórzyła Miriam.

Było *dobrze*. Mówiła o przeszłości, ale była to dobra przeszłość, pełna słońca. W harówce autopsji, jaką teraz była zajęta, niemal zapominała jak dobrymi mogą być

niektóre wspomnienia.

„Dowiedziałam się od sąsiadów, że wróciłaś do domu”,

stwierdziła Judy, „ale miałam opory przed

zadzwonieniem. Wiem, że to musi być dla Ciebie bardzo

trudny czas. Taki smutny i w ogóle.”

„Nie bardzo”, odparła Miriam. Czysta prawda

wyślizgnęła się bez jej intencji do wypowiedzenia, ale teraz już się to stało. To nie był smutny czas. To była 14

harówka, pełna działania, ale nie trzymała w zawieszaniu powodzi smutku. Zobaczyła to teraz, a jej serce było

rozświetlone przez prostą pogawędkę. Judy nie zganiła

jej, tylko zaprosiła do siebie.

„Czy czujesz się na tyle dobrze, żeby wpaść do mnie na drinka?”

„Wciąż mam wiele do posortowania”

„Obiecuję, że nie będziemy rozmawiać o dawnych

czasach”, przyrzekła Judy. „Ani słowa. Nie mogłabym

tego znieść; to sprawia, że czuję się jak antyk”. Zaśmiała się.

Miriam jej zawtórowała. „Tak”, zgodziła się. „Z chęcią przyjdę...”

„Dobrze. To bardzo krępujące, gdy jesteś jedynaczką i

cały obowiązek spada na ciebie, nieprawdaż?. Czasem

myślisz, że temu naprawdę nie ma końca.”

„Przeszło mi to przez myśl,” powtórzyła Miriam.

„Gdy się to kończy, zastanawiasz się, o co było tyle

hałasu,” rzekła Judy.

„Zajęłam się pogrzebem ojca, choć przez cały czas

miałam wrażenie, jakbym miała rozpaść się na kawałki.”

„Nie musiałaś tego robić sama, prawda?” zapytała

Miriam. „Co z?..”

Chciała wymówić imię męża Judy; przypominała sobie

listy matki, w których pisała o późnym – i jeśli dobrze pamiętała, skandalicznym – małżeństwie Judy. Ale nie

mogła przypomnieć sobie imienia pana młodego.

„Donaldem?,” przypomniała Judy.

„Donaldem.”

„Jesteśmy w separacji, kochana. Od dwóch i pół roku.”

„Och, tak mi przykro.”

„Mnie nie.” Odpowiedź była błyskawiczna. „To długa

historia. Opowiem Ci ją dziś wieczorem. Około siódmej?”

„Może jednak trochę później? Mam tak wiele do

zrobienia. Czy może być o ósmej?”

„O każdej porze, kochana, nie spiesz się. Ustalmy, że

będę Cię oczekiwać, gdy się zjawisz.”

„W porządku. I dziękuję za telefon.”

„Korciło mnie, by do Ciebie zadzwonić, od kiedy

usłyszałam, że wróciłaś. Nieczęsto ma się okazję zobaczyć starych znajomych, prawda?”

Kilka minut przed południem Miriam stanęła w

obliczu zadania, które oczekiwała jako najbardziej

osłabiające ze wszystkich. Chociaż nie przyznawała się do tego przed samą sobą, czuła dreszcz obrzydzenia, gdy

parkowała na zewnątrz domu pogrzebowego. Czowała

zatechły posmak na tyle swego gardła, a oczy zdawały się być zamknięte kratą. Szczerze mówiąc, nie chciała

ponownie ujrzeć swej matki, nie teraz, gdy nie mogły

rozmawiać, jednakże kiedy oficjalny pan Beckett zapytał

ją w rozmowie telefonicznej: „Czy chce pani zobaczyć

nieboszczkę?” odparła „Oczywiście”, jakby odpowiedź

miała przez cały czas na czubku języka.

I czego się tak obawiała? Veronica Blessed była martwa; odeszła spokojnie we śnie. Ale Miriam zdała sobie

sprawę, że zdanie, wyrwane z kontekstu; zdanie, jakie

pamiętała ze szkoły, wpelzło do jej głowy tego poranka i nie mogła się go pozbyć:

„*Każdy umiera, gdyż traci oddech.*”

Ta myśl była teraz z nią, gdy patrzyła na pana Becketta, i papierowe lilie i na podrapany narożnik jego biurka.

Stracić oddech, udusić się językiem, zadławić pod kocem.

Znała wszystkie te lęki, gdy była młoda, a teraz powróciły do niej w gabinecie pana Becketta i trzymały za rękę.

Jeden z nich pochylił się nad nią i szeptał złowieszczo do jej ucha: *A jeśli któregoś dnia po prostu zapomnisz jak się oddycha? Czarna twarz, odgryziony język.*

Czemu miała taką suchość w gardle? Myśl, że mama,

Veronica, pani Blessed, wdowa po Haroldzie Blessed,

teraz nieboszczka, będzie leżeć na jedwabiach z twarzą tak czarną, jak księcia piekielnych zastępów?
Podłe

spozstrzeżenie; podłe, niedorzeczne spostrzeżenie.

Ale przychodziły, te nieproszone pomysły, jeden szybko tuż za drugim. Większość miała źródło w jej dzieciństwie; absurdalne, niestosowne obrazy wypływające z jej

przeszłości niczym kałamarnica ku słońcu.

Zabawa W Lewitowanie, ulubiona szkolna rozrywka,

też przyszła jej na myśl: sześć dziewcząt otaczających siódmą, starających się podnieść ją każda na jednym

palcu. I towarzysząca temu ceremonia:

„Ona wygląda na *bladą*”, mówi przywódczyni.

„Ona *jest* blada”

„Ona *jest* blada”

„Ona *jest* blada”

„Ona *jest* blada”, zgromadzeni powtarzają po kolei w kierunku odwrotnym do wskazówek zegara.

„Ona wygląda na *chorą*”, oznajmia mistrzyni ceremonii.

„Ona wygląda na *chorą*”

„Ona wygląda na *chorą*”

„Ona wygląda na *chorą*”

„Ona wygląda na *chorą*”, powtarzają inni.

„Ona wygląda na *martwą*”

„Ona jest –”

Gdy miała sześć lat, dwie ulice od miejsca ich

zamieszkania popełniono morderstwo. Ciało było

zaklinowane za frontowymi drzwiami – słyszała jak pani Furness opowiedziała wszystko jej matce – i było tak

zmiękczone w wyniku rozkładu, że gdy policja sforsowała drzwi na oścież, zaklinowało się w sposób niemożliwy do odklejenia. Siedząc teraz pomiędzy bezwonnymi liliami, Miriam mogła wyczuć dzień, w którym stała rękę w rękę

z matką, słuchając kobiety rozprawiającej o morderstwie.

Gdy się nad tym zastanowić, zbrodnia była ulubionym

przedmiotem rozmów pani Furness. Czyżby to dzięki jej

uprzejmości Miriam nauczyła się po raz pierwszy, że jej lęki ze Ścieżki Strachu mają odpowiednik w świecie

dorosłych?

Miriam uśmiechnęła się, myśląc o kobiecie w zwyczajny

sposób debatującej nad rzezią, gdy stały w świetle dnia.

Pan Beckett zdał się nie dostrzec jej uśmiechu; lub,

bardziej prawdopodobnie, był w pełni przygotowany na

każdy objaw żałoby, nieważne jak dziwaczny. Być może

żałobnicy przychodzili tutaj i zrzucali z siebie całe

ubrania lub moczyli się w majtki. Spojrzała na niego

uważniej, tego młodego człowieka, który wykonywał fach pogrążony w żałobie. Pomyślała, że nie był nieatrakcyjny.

O cal lub dwa niższy od niej, lecz wzrost nie miał

znaczenia w łóżku; a przesuwanie trumien wyrabia układ mięśniowy, nieprawdaż?

Posłuchaj siebie, pomyślała, przywołując się

błyskawicznie do porządku. *O czym ty myślisz?*

Pan Beckett tracił swe jasnorude wąsy i spojrzał na

Miriam z wytrenowanym współczuciem. Ujrzała jak jego

urok osobisty – jakże mały był jego zapas – znika w tym jednym spojrzeniu. Zdawał się oczekiwać na jakąś

wskazówkę od niej; zastanawiała się, dlaczego. W końcu stwierdził:

„Przejdziemy do Kaplicy Spoczynku, czy omówimy

najpierw kwestie finansowe?”

Ach, to było *to*. Lepiej skończyć już z pożegnaniem, pomyślała. Mógłby poczekać trochę dłużej na swe

pieniądze. „Chciałabym zobaczyć matkę”, odparła.

„Oczywiście”, przytaknął, jakby od początku wiedział

że chciała ujrzeć ciało, jak gdyby był w pełni

zaznajomiony z jej najbardziej intymnymi wyborami.

Odrażało ją jego fałszywe zainteresowanie, ale nie dała tego po sobie poznać.

Wstała i pozwoliła się pokierować przez oszklone
drzwi korytarzem wyznaczonym przez wazony pełne

kwiatów. Były one, podobnie jak lilie na biurku, bardzo formalne. Zapach, jaki poczuła pochodził z
wypolerowanej podłogi, nie od rozkwitu; żadna pszczoła nie mogłaby się tu wzmocnić, chyba że
nektarem

zebrany ze śmierci.

Pan Beckett zatrzymał się przed jednymi z drzwi,
nacisnął na dźwignię i wskazał Miriam drogę. To było
nareszcie to: w końcu stanęła twarzą w twarz.

Uśmiechnij się, mamo, Miriam wróciła do domu.

Wkroczyła do pokoju. Dwie świece płonęły na małym

stoliku na przeciwko odległej ścianie, i ponownie znalazło się właściwe miejsce dla kwiatów, z ich
fałszywym

wrażeniem powielenia bardziej beznadziejnym niż
gdziekolwiek indziej.

Pokój był mały. Z ilością miejsca wystarczającą na
trumnę, krzesło, stolik, świecę i jedną lub dwie żywe
dusze.

„Mam pozostawić panią z matką?”, zapytał pan

Beckett.

„Nie”, zaprzeczyła z większym przekonaniem i

głośnością, niż mógł to znieść malutki pokój. Świece

zamigotały lekko wobec jej niestosowności. Łagodniej

dodała: „Wolałabym żeby pan został, jeśli może.”

„Oczywiście”, odparł tonem służbisty pan Beckett. Przez chwilę zastanowiła się, jak wielu ludzi w tym miejscu

połączenia wybrało czuwanie bez towarzystwa. Byłaby to zapewne interesująca statystyka, pomyślała, ze swym

umysłem podzielonym między pozbawionym

zainteresowania obserwatorem i przerażonym

uczestnikiem zdarzenia. Jak wielu żałobników,

pozostawionych z ukochanymi zmarłymi, prosiło o

towarzystwo, chociażby jedynie anonimowe, niż gdyby

mieli zostać sami z twarzą, którą znali przez całe życie?

Biorąc głęboki oddech, uczyniła krok w stronę

trumny, a tam, drzemiąca na jasnokremowej tkaninie na

tym wąskim, posiadającym wysokie boki łóżku, była jej

matka. Cóż za głupie i odpychające miejsce aby zasnąć, pomyślała; i do tego w twojej ulubionej sukni. Tak to do Ciebie niepodobne, Matko, bycie równie niepraktyczną.

Jej twarz została bezgustnie zaróżowiona, a włosy

dopiero co uczesane, chociaż nie w jej ulubionym stylu.

Na ten widok Miriam nie odczuwała grozy; jedynie

stłumiony ostry dreszcz rozpoznania i instynktu, aby sięgnąć w głąb trumny i obudzić jej matkę.

Mamo, jestem tutaj. To ja, Miriam.

Obudź się.

Na tę myśl Miriam poczuła jak jej policzki się rumienia, a gorące łzy napływają do oczu. Mały pokaz był rozrzedzony przez odrobinę stłumionego światła lampki dwóch jasnych oczu. „Mama”, rzekła nareszcie.

Pan Beckett, najwyraźniej od dawna nawykły do

takich przedstawień, nie powiedział nic, ale Miriam czuła silnie jego obecność za nią i żałowała, że nie poprosiła go o wyjście. Złapała za bok trumny, aby się podeprzeć,

podczas gdy łzy wypłynęły z jej oczu i spadły na fałdy sukni matki.

Zatem to był dom śmierci: to był jego kształt i

charakter. Jego etykieta była doskonała. W czasie

odwiedzin nie było tutaj przemocy; jedynie głęboki i

niezmienny spokój, który negował potrzebę okazywania

dalszych uczuć.

Zdała sobie sprawę z tego, że jej matka nie

potrzebowała jej już ani chwili dłużej, to było proste. Jej pierwsze i ostatnie odrzucenie. *Dziękuję*, mówiło to 23

zimne i dyskretne ciało, *ale już dłużej Cię nie potrzebuję.*

Dziękuję za Twoją troskę, ale możesz odejść.

Wpatrywała się w dobrze ubrane ciało Veroniki

poprzez mgiełkę nieszczęśliwości, nie mając teraz nadziei na obudzenie swej matki, nie mając

nadziei nawet na

westchnienie. Po czym rzekła „Dziękuję”, bardzo cicho.

Słowa te były skierowane do jej matki; ale pan Beckett, dotykając ramienia Miriam, gdy odwróciła się by odejść, wziął je do siebie.

„Nie ma sprawy”, odparł. „Naprawdę”.

Miriam wysmarkała nos i posmakowała łez. Obowiązek

został spełniony. Czas na interesy. Wypiła herbacianą

lurę z Beckettem; sfinalizowała sprawy finansowe,

spoglądając na niego w oczekiwaniu, że wreszcie się

uśmiechnie, przełamie swoją oficjalność ze współczucia.

Nie zrobił tego. Rozmowa została przeprowadzona ze

wcześniejszą stosownością, i do czasu, gdy wskazał jej drogę prosto w zimne popołudnie, napełniła ją odraza

wobec niego.

Pojechała do domu bez przemyśleń, z umysłem

pustym nie z powodu straty, lecz wyczerpania,

spowodowanego płaczem. Decyzja powrotu do domu

drogą prowadzącą wzdłuż kamieniołomu nie była

świadomą. Ale gdy powróciła na ulicę, która przebiegała przez jej dawny plac zabaw, zdała sobie sprawę, że jakaś jej część chciała – może nawet potrzebowała –

konfrontacji ze Ścieżką Strachu.

Zaparkowała samochód na bezpiecznym końcu

kamieniołomu, niedaleko samej ścieżki, i wysiadła.

Drzwi owinięte drutem kolczastym, przez które

przemykała się jako dziecko, były zamknięte, ale dziura w nich istniała wydarta jak przed laty. Bez wątpienia,

kamieniołom nadal był placem zabaw. Nowy drut, nowe

wrota: ale te same gry. Nie mogła oprzeć się pokusie

przeciśnięcia pod drutem, choć mogła nadzieć się na jego haczyk. Wewnątrz niewiele uległo zmianie. Ten sam

chaos głązów, stopni i płaskowyży, puszek, chwastów i

kałuż, zagubionych i zniszczonych zabawek, części do

rowerów. Wcisnęła swe pięści do kieszeni płaszcza i

wolno kroczyła poprzez gruzowisko dzieciństwa, koncentrując wzrok na stopach, z łatwością odnajdując

ponownie znajome dróżki między kamieniami.

Nigdy tu nie zabłądzi. W ciemności – nawet po

śmierci, jako duch – będzie pewna swych kroków. W

końcu odkryła miejsce, które lubiła najbardziej i stojąc 25

pod osłoną wielkiego kamienia, podniosła głowę, aby spojrzeć poprzez kamieniołom na klif. Z tej odległości ścieżka była ledwie widoczna, ale oszacowała jej długość skrupulatnie. Przód kamieniołomu wyglądał mniej

okazale niż go zapamiętała; mniej majestatycznie. Upływ lat pokazał jej mniej niebezpieczne

wysokości, mniej

okazałe głębie. Jednak nadal czuła, jak jej wnętrzności się stykają, jak gdyby ośmiornica została wszyta w jej krzyż, i wiedziała, że dziecko w niej, mało podatne na rozsądek, przeszukiwało klif wypatrując choćby mało

znaczącego śladu ducha Ścieżki. Drgnięcie

zamaskowanej kończyny, gdy nieustannie czuwał;

migotanie okrutnego oka.

Ale nie mogła nic ujrzeć.

Niemal zawstydzona z powodu tych lęków, powróciła po

swych krokach przez kanion kamieni, prześlizgnęła się

poprzez wrota, jak niesforne dziecko, i wróciła do

samochoodu.

Ścieżka Strachu była *bezpieczna*. Oczywiście, że była bezpieczna. Nie skrywała żadnej grozy, nigdy. Słońce

usilnie starało się dzielić z nią to rozradowanie,

przebijając zasłonięte światło i zimne promienie poprzez 26

chmury deszczowe. Wiatr był po jej stronie, przynosząc zapach rzeki. Żal był tylko wspomnieniem.

Wstąpi teraz na Ścieżkę, jak zdecydowała; da sobie

czas na zakosztowanie smaku każdego pozbawionego

strachu kroku, jaki na niej uczyni, czcząc jej zwycięstwo nad historią. Przejechała wokół boku kamieniołomu i

trzasnęła drzwiami samochodu z uśmiechem na twarzy,

gdy tylko zeszła z trzech stopni, jakie wiodły z chodnika prosto na samą ścieżkę.

Na Ścieżkę padał teraz oczywiście cień ceglanej ściany; jego długość była większa od ulicy za jej plecami. Ale nic nie mogło rozbić jej pewności siebie. Przeszła z jednego końca zatkanego chwastami korytarza na drugi bez

żadnego wypadku, jej ciało było napełnione czystą

łatwością tegoż . *Jak mogłam się kiedykolwiek tego*

obawiać? zapytała samą siebie, gdy odwróciła się i rozpoczęła drogę powrotną do oczekującego samochodu.

Tym razem, gdy szła, pozwoliła sobie powrócić myślami

do specyfiki swych dziecięcych koszmarów. Było pewne

miejsce – w połowie Ścieżki i w związku z tym w

największej odległości od pomocy – które było dla niej synonimem największej grozy. To konkretne miejsce –

zakazane kilka jardów, dla niewprawnego oka

nieróżniące się niczym od pozostałych jardów ścieżki – było miejscem które istota z kamieniołomu wybierze na swe ostatnie chwile. To była zabójcza ziemia, teren ofiarny, naznaczony - jak żarliwie wierzyła - krwią niezliczonych innych dzieci.

Nawet, gdy smak tego wspomnienia powrócił do niej,

zbliżyła się do celu. Znaki określające to miejsce wciąż były widoczne: pięć ułożonych bezbarwnych cegieł;

szczelina w cemencie, która była niewielką osiemnaście lat wcześniej i znacznie urosła. Miejsce było tak łatwe do rozpoznania jak zawsze; ale straciło swoją moc. Było

teraz podobne do setek identycznych jardów, przeszła

obok niego z zadowoleniem, tylko przez moment

znikającym z jej twarzy. Nawet nie rzuciła okiem wstecz.

Ściana Ścieżki Strachu była stara. Zbudowano ją

dekadę przed narodzinami Miriam, przez ludzi którzy w

niewielkim stopniu opanowali swój fach. Erozja wżarła

się w przód kamieniołomu, ponad wyszczerbionymi

cegłami, niewidocznymi dla biurowych urzędników i

przedstawicieli urzędu bezpieczeństwa z Departamentu

Środowiska; w innych miejscach naruszony deszczem

piaskowiec skruszał i rozpadł się. Tam i ówdzie, cegły 28

były pozbawione wsparcia na połowie ich długości.

Zwisały nad przepaścią kamieniołomu, podczas gdy

deszcz i wiatr oraz grawitacja wżerały się w kruszejące spoiwo, który trzymało je razem.

Miriam nie widziała nic z tego. Musiałaby poczekać

chwilę, zanim usłyszała niespokojny odgłos niszczących skał opierających się powietrzu; czekających,

ulegających, zaczynających się rozpadać. Gdy tak się

zdarzyło, odeszła, przepelniona radością, pewna że

odpędziła swoje lęki na zawsze.

Tego wieczoru spotkała się z Judy. Nigdy nie była

ona piękna; zawsze jej rysy twarzy cechował nadmiar: jej oczy zbyt duże, usta zbyt szerokie. Jednak teraz, w wieku trzydziestu paru lat, promieniowała. Był to seksualny

rozkwit, rzecz jasna, który mógł uschnąć i umrzeć

przedwcześnie, ale kobieta która wyszła na spotkanie

Miriam przy drzwiach wejściowych miała się znakomicie.

Rozmawiały przez cały wieczór o latach rozłąki – choć

miały inną umowę – wymieniając się opowieściami o

swych porażkach i sukcesach. Miriam była oczarowana

towarzystwem Judy; natychmiast poczuła się przytulnie

obok tej rozpromienionej, szczęśliwej kobiety. Nawet temat jej rozstania z Donaldem nie przerwał tego stanu.

„Nie zabraniam nam rozmawiać o starych mężach, psiapsióło; to po prostu nieco nudne. Mam na myśli to, że nie był wcale taki zły.”

„Rozwodzisz się z nim?”

„Pewnie tak; jeśli będę miała chwilę. Takie sprawy

przeciągają się miesiącami, rozumiesz. Poza tym, jestem Wagą; nigdy nie mogę się zdecydować, czego chcę.”

Przerwała. „Zresztą”, stwierdziła z na poły tajemniczym uśmiechem, „to nie do końca prawda.”

„Czy był niewierny?”

„Niewierny?”. Zaśmiała się. „Nie słyszałam tego słowa od dawien dawna.”

Miriam nieco się zarumieniła. Czy życie na wyspach

rzeczywiście było tak zacofanym, gdzie dorosłość nie była jeszcze kwestią przymusu?

„Nawalił na całego,” odparła Judy. „Po prostu. Ale

później, zrobiłam to samo.”

Ponownie się roześmiała, i tym razem Miriam jej

zawtórowała, nie do końca pewna dowcipu.

„Jak się dowiedziałaś?”

„Dowiedziałam się, gdy on się dowiedział.”

„Nie rozumiem.”

„To było takie oczywiste, brzmi jak farsa gdy o tym

opowiadam; ale, widzisz, on znalazł list od kogoś z kim byłam. Nikogo szczególnie znaczącego dla mnie –

zwykłego przyjaciela. Tak czy inaczej, triumfował;

naprawdę zaczął o tym pisać, mówiąc że miał więcej

romansów niż ja. Traktował to jako rodzaj

współzawodnictwa – kto oszuka częściej, i z kim.”

Przerwała; ponownie na jej twarzy pojawił się ten sam

szelmowski uśmiech. „Gdy doszło do wykładania kawy

na ławę, wyszło na to, że radziłam sobie lepiej niż on. To naprawdę go rozwścieczyło.”

„Więc rozstaliście się?”

„Nie było większego sensu w pozostaniu razem; nie

mieliśmy dzieci. I nie było już między nami choćby

odrobiny miłości. Nigdy tak naprawdę jej nie było. Dom był zapisany na niego, ale pozwolił mi go zatrzymać.”

„Więc wygrałaś te zawody?”

„Tak sędzę. Ale jednakże, miałam pewnego asa w

rękawie.”

„Co?”

„Innym człowiekiem w moim życiu była kobieta,”

przyznała Judy, „i biedny Donald nie mógł tego znieść.”

Gdy tylko się dowiedział, na dobrą sprawę skapitulował.

Powiedział mi, że zdał sobie sprawę, iż nigdy mnie nie rozumiał, i że lepiej byłoby byśmy się rozstali.” Spojrzała na Miriam i dopiero teraz dostrzegła jaki efekt miało jej oświadczenie.

„Och”, westchnęła, „przepraszam. Otworzyłam usta i wepchnęłam w nie stopę.”

”Nie,” zaprzeczyła Miriam, „to ja sama. Nigdy nie myślałam o tobie jako o...”

”...lesbijce? Och, chyba od zawsze to wiedziałam, jeszcze w czasach szkolnych. Listy miłosne pisane do nauczycielki WFu...”

„Wszystkie tak robiłyśmy.” przypomniała jej Miriam.

„Niektóre jednak traktowały to poważniej niż inne.”

„A gdzie teraz jest Donald?”

„Och, gdzieś na Środkowym Wschodzie, jak niedawno się dowiedziałam. Chciałabym żeby do mnie napisał, dał znak, czy ma się dobrze. Ale on tego nie robi. Duma mu nie pozwoli. Szkoda. Moglibyśmy być dobrymi

przyjaciółmi, jeśli nie bylibyśmy mężem i żoną.”

To było wszystko, co mogło zostać powiedziane w tym temacie; albo wszystko, co Judy chciała powiedzieć.

„Czy mam zrobić kawę?”, zasugerowała i przeszła do

kuchni, zostawiając Miriam z kotem i jej myślami. Żadne z nich nie miało tej nocy zamiaru od niej uciec.

„Chciałabym pójść na pogrzeb Twojej matki,” zawołała z kuchni Judy. „Czy masz coś przeciwko?”

„Oczywiście, że nie.”

„Nie znałam jej zbyt dobrze, ale widywałam, gdy robiła zakupy. Zawsze wyglądała tak elegancko.”

„Była taka”, przyznała Miriam. „Czemu nie pojedziesz ze mną w pierwszym samochodzie?”

„Nie jestem twoją krewną.”

„Chciałabym, żebyś pojechała.” Kot przewrócił się we

śnie i zaprezentował swój pokryty zimową sierścią

brzuch wygodnym palcom Miriam. „Proszę.”

„Zatem dziękuję. Pojadę.”

Następna godzina upłynęła im na picciu kawy, później

whisky i jeszcze trochę whisky, oraz rozmowie o Hong

Kongu i ich rodzicach, i na końcu o pamięci. Lub raczej, o irracjonalnej naturze pamięci; jak ich umysły

wyselekcjonowały dziwne detale związane z

wydarzeniami przy jednoczesnym zanegowaniu bardziej

znaczących: zapach powietrza towarzyszący

wypowiedzianym słowom pełnym uczuć, a nie same
słowa; kolor butów kochanka, ale nie barwę jego oczu.

W końcu, sporo po północy, rozstały się.

„Przyjdź do domu około 11”, zaprosiła Miriam.

„Samochody odjadą kwadrans później.”

„W porządku. Do zobaczenia jutro.”

„Dzisiaj,” zauważyła Miriam.

„Zgadza się, dzisiaj. Prowadź ostrożnie, kochana, to
zdradliwa noc.”

Noc była wietrzna; w radiu ogłoszono nadciągające

znad Morza Irlandzkiego wichury. Jechała ostrożnie

przez puste ulice, te same podmuchy wiatru, które nacierały na samochód wskrzeszały opadłe liście i
wirowały nimi do góry w poświęconej latarni. Pomyślała, że w Hong Kongu o tej porze ulice nadal
pełne są życia. A tutaj? Jedynie ciemne i uśpione domy, zaciągnięte

kotary, zamknięte drzwi. Gdy jechała, wróciła pamięcią do swej ścieżki prowadzącej przez dzień i
wspominała

trzy wyznaczające ją spotkania. Z matką, z Judy i ze

Ścieżką Strachu. Do chwili, w której wspomnienia ustały, była w domu. Sen dopasował się do
burzliwej nocy, wytyczony przez pokrywy koszy na śmieci, zmiecione

przez podmuchy niegodziwego wiatru, i drapanie
klonowych gałęzi o okna.

Kolejnym dniem była środa, 1 grudnia, i deszcz
przeszedł przed świtem w deszcz ze śniegiem.

Pogrzeb nie był pozbawiony cierpienia . Było to w najlepszym wypadku standardowe pożegnanie z
kimś,

kogo Miriam onegdaj знаła, a teraz straciła z widoku; w najgorszym momencie, ta pozbawiona
emocji

uroczystość i dobrze nakreślony rytuał stracił swą

oziębłość kończąc się w momencie, w którym pas

przewożący przeprowadził trumnę przez parę liliowych

zasłon do pieca i komina w głębi. Miriam nie mogła powstrzymać się od wyobrażenia sobie wnętrza
trumny,

gdy ta przedygotowała przez nieomal teatralne zasłony, nie mogła nie wyobrazić sobie drogi ciała matki

wstrząsanego każdym małym ruchem w jej skrzyni

podążającej do krematorium. . Myśl, choć samoistna, była nie do zniesienia. Musiała wbić paznokcie
w mięso swych dłoni, aby powstrzymać się przed powstaniem i

zażądaniem wstrzymania ceremonii, aby otworzyć

trumnę, zagrzebać się w całunie i porwać to blade ciało raz jeszcze w swe ramiona; z miłością i
adoracją

dziękując jej. Ta chwila była najtrudniejsza; wstrzymała się do momentu, gdy kurtyny się zamknęły, i tu nastąpił

koniec.

Gdy uroczystości potoczyły się dalej, były już

rutynowymi, ale w prosty sposób zmierzyły w godną stronę.

Wiatr kęsał, gdy opuszczali małą krematoryjną kaplicę

z czerwonej cegły; żałobnicy zdążyli już podzielić się miejscami w samochodach z pomrukami podziękowań i

mętными spojrzeniami zakłopotania. W powietrzu

unosily się płatki śniegu; zbyt duże i zbyt mokre by się unosić opadały ciężko na ziemię, czyniąc ponurość

otoczenia jeszcze bardziej niegościnną. Ból zębów sięgnął

do głowy Miriam; rozprzestrzenił się też na nos i oczy.

Judy chwyciła ją pod rękę. „Musimy ponownie się

spotkać, kochana, zanim odjedziesz.”

Miriam przytaknęła. Miała odjechać w mniej niż

dwadzieścia cztery godziny; i tej nocy, w ramach

przedsmału wolności, miał zadzwonić Boyd. Obiecał, że

to zrobi, i był w słodki sposób godny zaufania. Wiedziała, że będzie w stanie poczuć gorąco ulicy przez kabel

telefonu.

„Dziś w nocy...” Miriam zasugerowała Judy. „Przyjdź do mnie dziś w nocy.”

„Jesteś pewna? Czy to nie jest przypadkiem niestosowne?”

„Nie bardzo. Nie teraz.”

Nie teraz. Veronica odeszła, na zawsze. Budynek nie był już teraz domem.

„Wciąż czeka na mnie wiele sprzątanía,” uprzedziła

Miriam. „Chcę go przekazać agentom bez pozostałości po mojej matce. Nie podoba mi się wizja obcych grzebiących w jej rzeczach.”

Judy wymamrotała słowa przyzwolenia.

„Zatem, pomogę ci”, obiecała. „Jeśli nie wypadnie mi nic innego.”

„Pracowity wieczór?”

„W porządku.”

„O siódmej?”

„O siódmej.”

Nagły silnie odczuwalny podmuch wiatru pochwycił oddech Miriam, rozpraszając kilku marudzących żałobników do ciepłoty ich samochodów. Jedną z sąsiadek matki – Miriam nigdy nie była w stanie zapamiętać jej imienia – zgubiła swój kapelusz.

Zdmuchnięty potoczył się przez Trawnik Pamięci, gdy jej mąż z wytrzeszczonym wzrokiem niezdarnie rzucił się w

pościg poprzez wzbożoną prochami zmarłych trawę.

Na wysokości kamieniołomu, wiatr był nawet

silniejszy. Przybył z nad morza i wiał wzdłuż rzek,

kanalizując swoją furię w postaci pięści złożonej z drobinek śniegu, po czym opanował miasto, aby zdobyć ofiary. Ściana Ścieżki Strachu była idealnym materiałem.

Słaba wskutek zmian na przestrzeni lat, wymagała

jedynie nieco represji, aby nakłonić ją do poddania się.

Późnym popołudniem, wyjątkowo ambitny podmuch

zerwał trzy lub cztery zwieńczone szkłem cegły i cisnął je w głąb jeziora kamieniołomu. Struktura była najsłabsza właśnie tam, w środkowej części, i gdy tylko wiatr

rozpoczął demolkę, grawitacja użyczyła swego łokcia w

tym celu.

Młody człowiek, zmierzający na rowerze do domu,

miał właśnie osiągnąć połowę ścieżki, gdy usłyszał ryk kapitulacji i zobaczył sekcję ściany zginającą się na

zewnątrz w pyle fragmentów spoiwa. Dało się słyszeć gasnące uderzanie cegieł o ścianę, gdy ruiny zmierzały ku podnóżu klifu. Wyrwa, o szerokości sześciu stóp,

otworzyła się w ścianie, a triumfujący wiatr wiał poprzez nią, szarpiąc odsłonięte krawędzie ściany i nakłaniając je do podążania w dół. Młodzieniec zsiadł z roweru i

poprowadził go na krawędź, uśmiechając się na widok

spektaklu.

Droga w dół jest długa, pomyślał, schodząc w kierunku

wyrwy i ostrożnie zerknął poza krawędź. Słaby wiatr owiewał koła, wirując za jego plecami, nakłaniając go do pójścia o krok dalej. Uczynił to. Oszołomienie, jakie czuł

podniecało go, a idiotyczna potrzeba przewieszenia się, chociaż godna odparcia, była silna. Wychylając się, był

zdolny do ujrzenia dna kamieniołomu; ale przód

kamienia tuż pod wyrwą w ścianie był poza zasięgiem

wzroku. Małe przewieszenie przesłaniało to miejsce.

Młodzieniec wychylił się jeszcze bardziej, a lodowaty

wiatr czuł jako gorący. *Dalej, mówił. Dalej, przyjrzyj się bardziej, spójrz głębiej.*

Coś, mniej niż jard poniżej rozzianej wyrwy w ścianie, poruszyło się. Młody człowiek ujrzał, lub zdało mu się, że zobaczył, poruszający się – choć jego masa była

zasłonięta przewieszeniem – kształt. Który następnie,

wyczuwając że ktoś go obserwuje, zastygł na ścianie klifu.

Dalej z tym, szeptał wiatr. Zaspokój swoją ciekawość.

Młodzieniec pomyślał, że ma już dosyć. Dreszcz

wyzwania stał się cierpkim. Było mu zimno, zabawa

dobiegła kresu. Czas wracać do domu. Odstąpił od ściany i zaczął prowadzić z powrotem swój rower, z gwizdaniem na ustach jako częścią aktu ucieczki i sposobem na

zatrzymanie tego, co wyczuł na jego miejscu.

O siódmej Miriam kończyła sortowanie pozostałości

bizuterii matki. Zawartość małych perfumowanych

pudełek nie była zbyt cenna, ale zdecydowała zabrać ze sobą jedną lub dwie ładne broszki, umieszczone w

wyściółkach z szarzejącej bawełny, jako pamiątki. Boyd zadzwonił nieco po szóstej, jak obiecał; jego głos rozmyty z powodu kiepskiego połączenia, lecz pełen wsparcia i

oddania. Miriam wciąż przeżywała ich rozmowę. Teraz

telefon zadzwonił ponownie. Tym razem była to Judy.

„Kochanie, nie sądzę, żebym zdołała dziś przyjść. Czuję się teraz bardzo źle. Przyszłam na pogrzeb, a moje bóle są zawsze większe, gdy jest zimno.”

„Ojej”

„Obawiam się, że byłabym kiepskim towarzystwem.

Przykro mi, że Cię zawiodłam.”

„Nie martw się, jeśli nie czujesz się najlepiej...”

„Szkoda, że mogę Cię już nie ujrzeć dopóki tutaj nie powrócisz.”

Zdawała się być przygnębiona tą myślą.

„Posłuchaj,” odpowiedziała Miriam, „jeśli skończę pracę zanim nie zrobi się zbyt późno, przejdę się do ciebie. Nie cierpię telefonicznych pożegnań.”

„Ja też.”

„Nie mogę jednak tego obiecać.”

„Jeśli Cię zobaczę, to dobrze; pozostawmy to w tym punkcie, OK? Jeśli zaś nie, trzymaj się, kochana, i zadzwoń jak już bezpiecznie wrócisz do domu.”

Do czasu, gdy opuściła dom o 21:50, wichura już

dawno ustała, zastąpiona przez ciszę tak głęboką, że była nawet bardziej denerwującą niż poprzedni hałas. Miriam zamknęła drzwi i cofnęła się o krok, aby spojrzeć na front domu. Następnym razem, gdy postawi tu swoją stopę

(jeśli, oczywiście, kiedykolwiek to nastąpi), dom będzie ponownie zamieszkały i bez wątpienia przemaalowany.

Nie będzie miała żadnych zaszłości; bóle wspomnień,

jakich doświadczyła w ostatnich kilku dniach będą już

same dla siebie wspomnieniami.

Przeszła do samochodu, trzymając w ręce kluczyki, ale w ułamku chwili zdecydowała, że przejdzie do domu

Judy. Oczyszczone przez wichurę powietrze było świeże i postanowiła wykorzystać okazję dla spaceru wokół

starego sąsiedztwa po raz ostatni.

Pomyślała, że przejdzie nawet Ścieżką Strachu; będzie

u Judy za pięć lub dziesięć minut.

Zakręt na Ścieżce był długi i zwodniczy, gdy podążał

wzdłuż obrzeża kamieniołomu. Z jednego końca nie

można było dojrzeć drugiego ani nawet środka. Zatem

Miriam była prawie ponad dziurą w ścianie, gdy ją

ujrzała. Jej pewne kroki załamały się.

W jej podbrzuszu coś rozłożyło swe ramiona w geście powitania. Dziura rozpościerała się tuż przed nią,

rozległa i zapraszająca. Poza krawędzią, gdzie słabe

światło z ulicy nie miało swej siły, ciemność

kamieniołomu była najwyraźniej nieskończona. Nigdy

nie zdarzyło jej się stać na krawędzi świata; nie było głębokości ani odległości między brzegiem ścieżki,

jedynie ciemność, która mruczała z oczekiwaniem.

Nawet gdy się teraz wpatrywała, drobiny cementu kruszyły się w przestrzeni. Słyszała jak odpadają od niej, mogła nawet usłyszeć ich odległe kłaśnięcia. Lecz teraz, 42

nawiedzona przez nagły strach, usłyszała inny dźwięk;

bliski dźwięk, którego nigdy nie chciała słyszeć w życiu na jawie, zgrzytanie paznokci na kamiennej ścianie kamieniołomu, pośpieszny jadowity oddech ze strony istoty, która czekała, tak cierpliwie czekała na ten

moment i teraz powoli i celowo wlekła się w górę na ostatnie stopy klifu, w jej stronę. Czemu miałyby się spieszyć? To wiedziało, że była niemal sparaliżowana.

Nadciągało; nie było znikąd pomocy. Jego ramiona wynurzyły się nagle ponad kamieniem, a głowa, ponure oblicze ohydy i zdeprawowania, była niemal ponad obrzeżem ścieżki. Nawet teraz, mogąc już niemal ujrzeć ofiarę, nie przyspieszyło wspinaczki, ale jeszcze

wydłużało ten okropny czas.

Mała dziewczynka, jaką była kiedyś Miriam, chciała

teraz umrzeć, zanim to ją dostrzeże, ale kobieta, jaką była obecnie, pragnęła dostrzec oblicze odwiecznego

prześladowcy. Tylko aby ujrzeć, przez straszną chwilę

nim ją pochwyci, jakie było to stworzenie. W końcu

czekało tutaj od tak dawna. Miało swe powody dla tak

cierpliwej męki, zapewne; może twarz je odsłoni.

Jak mogła pomyśleć, że od tego zdoła kiedykolwiek

uciec? W świetle dnia wyśmiewała swe lęki, ale to były 43

pozory. Pot strachu dzieciństwa, nocne łzy (gorące i

płynące prosto z kącików jej oczu na włosy),

niewypowiedziane lęki, były tutaj. Wyszły z ciemności, a ona była nareszcie sama. Tak samotna, jak mogą być

tylko dzieci: zapieczętowana z uczuciami nie do

wypowiedzenia, w prywatnych piekłach ignorancji,

których niedostrzegalne korytarze prowadziły w

dorosłość. Teraz głośno płakała, wrzeszcząc jak

dziesięciolatka, jej pomarszczona twarz była czerwona i lśniąca od łez. Nos miała zatkany, a oczy zaczerwienione.

Przed nią Ścieżka Strachu, słabła i czuła

niewypowiedziane wycofanie się ciemności. Jeden z jej

kroków w stronę dziury w murze byłznaczony przez

kolejne wciągnięcia płaskiego czarnego brzucha ponad

obliczem gruzowiska. Kolejny krok i stanęła tuż obok

niszczonego brzegu Ścieżki Strachu, i w przeciągu chwil to ją pochwyci za włosy i rozerwie na pół.

Stała przy przyprawiającej o zawrót głowy krawędzi, a

twarz jej lęku wynurzała się z bezdennej nocy, aby na nią spojrzeć. To była twarz jej matki.

Straszliwie rozciągniętą dwa lub trzy razy bardziej niż rzeczywista; jej pożółkłe powieki migotały, aby ukazać białka oczu bez źrenic,

jakby była zawieszona w ostatniej chwili między życiem a śmiercią.

Jej usta otworzyły się; wargi pociemniały i

rozciągnęły się na kształt cienkich linii wokół bezzębnej dziury, która bezużytecznie łapała powietrze, próbując wypowiedzieć imię Miriam. Więc nawet teraz nie było

chwili dla rozpoznania: istota oszukała ją, oferując tę martwą, ukochaną twarz w miejsce swojej własnej.

Usta jej matki dalej się wykrzywiały, jej irytujący język starał się bezużytecznie nadać kształt tym trzem

sylabom. Bestia chciała ją przywołać, i wiedziała w swej odwiecznej przebiegłości, którą twarz użyć, aby to

uczynić. Miriam spojrzała przez swoje łzy na te

migoczące oczy; połowicznie mogła dostrzec poduszkę

łoża śmierci pod głową jej matki, połowicznie poczuć jej ostatni, kwaśny oddech.

Imię było niemalże wypowiedziane. Miriam zamknęła

oczy, wiedząc, że gdy ono padnie, oznaczać to będzie

koniec. Była pozbawiona woli. Strach ją pochwycił;

perfekcyjne naśladownictwo stanowiło ostateczny,

triumfalny nawrót lęku. Przemówi głosem matki, a ona

do niej pójdzie.

„*Miriam*”

Głos był bardziej słodki niż przypuszczała.

„*Miriam*”. Imię w jej uchu, a teraz szpony na ramieniu.

„*Miriam, na Boga,* ” załkała istota. „*Co ty wyrabiasz?*”

Głos był znajomym, ale nie należał do jej matki ani do bestii. To był głos i ręce Judy. Szarpnęły ją z powrotem znad krawędzi i rzuciły nią o przeciwną ścianę. Poczła bezpieczeństwo zimnych cegieł na plecach, wobec

poduszek jej rąk. Łzy nieco przeszły.

„*Co ty wyrabiasz?*”

Tak, bez wątpienia. Judy, jasna niczym dzień.

„Wszystko w porządku, kochana?”

Za plecami Judy ciemność była głęboka, ale stąd widać

było już tylko ścieżkę z kamieniami, gdy Straszycło

wycofało się w dół kamieniołomu. Miriam czuła ramiona

Judy wokół siebie, ściśle utrzymujące jej życie, mocniej niż ona sama.

„Nie chciałam dać Ci takiego wycisku,” rzekła. „Po prostu sądziłam, że chcesz skoczyć.”

Miriam potrząsnęła głową w niedowierzaniu. „To mnie

nie zabrało,” wyszeptala.

„Co cię nie zabrało, kochana?”

Nie mogła mówić o tym w zasięgu słyszalności. Chciała

po prostu być daleko od ściany; i od Ścieżki.

„Pomyślałam, że skoro nie przychodzisz,” wyjaśniała

Judy, „to, do diaska, przemogę się i przyjdę do ciebie. Na całe szczęście poszłam na skróty. Co u licha opętało cię, aby spoglądać w dół krawędzi w ten sposób? To niebezpieczne.”

„Możesz zabrać mnie do domu?”

„Oczywiście, kochana.”

Judy objęła ją ramieniem i poprowadziła z dala od wyrwy w ścianie.

Poza nimi, cisza i ciemność. Migotające światło. Spoiwo skruszało znów nieco bardziej.

Spędziły razem noc w domu, leżąc niewinnie jak

dzieci w wielkim łóżku w pokoju Miriam. Opowiedziała

historię od początku do końca: całą historię Ścieżki

Strachu. Judy wysłuchiwała jej potakując i uśmiechając się, akceptując ją. W końcu, godzinę przed świtem, gdy

skończyły wyznania, zasnęły.

O tej samej godzinie, prochy matki Miriam stygły,

zmieszane z pozostałościami po trzynastu innych

osobach, które trafiły do pieca w tą środę, 1 grudnia.

Rankiem, pozostałe kości zostaną zakopane a popiół

podzielony na czternaście różnych części, potem skrupulatnie wsypany do czternastu urn z imionami ukochanych zmarłych. Niektóre zostaną rozsypane; inne wmurowane w Ścianie Pamięci; pozostałe oddane żałobnikom, jako punkt ujścia żalu.

O tej samej godzinie, pan Beckett śnił o swym ojcu, i na wpół obudził się, szlochając, tylko po to by ponownie się ukoić w śnie u boku dziewczyny. I o tej samej porze, mąż Marjorie Elliot, wybrał skrót wiodący Ścieżką Strachu.

Jego stopy trzeszczały na żwirku, jedyny dźwięk na świecie o tej porze przed świtem. Przechodził tędy codziennie w swym roboczym życiu, wykończony nocną zmianą w piekarni. Jego paznokcie były pobielone od ciasta, a pod pachą niósł jasny bochenek chleba i paczkę z sześcioma chrupiącymi bułkami. Tak zanosił je do

domu, świeże każdego poranka, od prawie dwudziestu trzech lat. Wciąż powtarzał ten rytuał, choć od czasu przedwczesnej śmierci Marjorie, większość tego chleba była niezjadana i trafiała do ptaków.

W środku Ścieżki zwolnił kroku. W brzuchu odczuwał poruszenie; zapach w powietrzu obudził wspomnienia.

Czy nie był to czasem zapach jego żony? Pięć jardów dalej migotała lampa. Spojrzał w dół na wyrwę w ścianie, 48 a z dołu kamieniołomu wyrosła nagle ogromna twarz jego dawno pochowanej Marjorie. Wypowiedziała jego

imię raz, i bez trudzenia się z odpowiedzią na wezwanie, zszedł ze Ścieżki i zniknął.

Bochenek, który niósł, pozostał na żwirze.

Uwolniony z owijającego go papieru, stygł, powoli tracąc ciepło swych narodzin na rzecz nocy.

Źródło oryginalnego tekstu: *Prime Evil. New*

***stories by masters of modern horror*, edycja: Douglas E. Winter, Signet Books, USA, 1989, str:**

101 – 127.

